

WROCLAWSKI EPIZOD

Sezon 1968/1969 zaczynał się we wrocławskim Teatrze Polskim ostrą pracą. Ogólne podniecenie, tempo, próba goniła próbę. Życie na najwyższych obrotach. Życie jak górne c. Na widowni przy pulpicie reżyserskim profesor Bohdan Korzeniewski. Na scenie kwiat aktorstwa z Ziutkiem Skwarkiem w roli Skapena na czele. Ziutek-Skapien z wdziękiem i nader swobodnie, z polotem i wigorem, błyskotliwie i brawurowo serwował tekst. Gejzer temperamentu, akrobatyczna zręczność, zniewalający urok osobisty. Scena za sceną, temperatura rosła, żywioł zabawy ogarnął i nas, nielicznych obserwatorów schowanych daleko za stolikiem reżysera, i zespół na scenie.

Profesor bacznie śledzi akcję, nawet uśmiecha się zadowolony, rozbawiony, nagle przerywa. Stop! Stop! Stop!

Postacie w nieustającym ruchu, gonitwie, spontanicznej, zabawowej improwizacji (scenach niemal baletowych) – zastygają. Profesor wstaje. Cisza. Woła:

— Tu czegoś brakuje! Tu nie może być pusto! – Pokazuje na miejsce na scenie pod pomostem. Pomost, konstrukcja z wyciętym łukiem, który może być schowkiem, przejściem, kryjówką.

— Tu nie może być pusto. Skapien musi tu mieć jakieś odniesienie. W tym schowku.

— To jak pod mostami Paryża... – to do Helmuta Kajzara, któremu Profesor też dziś zezwolił obserwować próbę *Podstępów Skapena*. Helmut Kajzar przygotowywał w tym samym czasie na Scenie Kameralnej *Śmieszne-go staruszkę* z Siemionem w roli tytułowej, swój warsztat reżyserski.

— To puste miejsce przeszkadza.

Ale czym można je wypełnić? Co można tu wstawić?

— Nogi!

— Nogi? – żywo zareagowała pani dyrektor. – Jakie nogi?

Profesor z rozwagą:

— Nogi młode, wysokie, to znaczy długie, silne.

— No dobrze, ale co te nogi będą znaczyć?

— Nogi w którymś momencie się pojawiają i będą sobie leżeć!

Po próbie był zwyczaj chodzenia do urzędu Miejskiej Rady Narodowej, *à vis* teatru, nie na obrady bynajmniej, lecz do stołówki na obiad.

Któregoś dnia, gdy zupa pomidorowa w stołówce MRN była wyjątkowo podła, a humor Profesora po próbie harmonijnie współgrał z obiadowym daniem, zaproponowałam mały wypad w plener. W buczynowe zagajniki, w rozległe polany pełne krzewów jarzębiny oblepionych o tej porze kępami koralu, w rozległe uroczyska leśne. I to zupełnie niedaleko Wrocławia.

Profesor nie dowierzał. Naprawdę, blisko Wrocławia takie ostępy? Nagle ostępy się skończyły i zaczęła szeroka aleja. Strzeliste topole po obu stronach drogi stały jak wielkie, zielone, ostro zatemperowane ołówki. Dawniej nęciło mnie, co też kryje się za ostatnim ołówkiem. Ale wtedy już wiedziałam. Chatka w kolorze piernika, w lilipucim ogródku chwiały się lwie paszcze i jakieś fiołkowe dzwonki, a na podwórzu krzątał się staruszek. Fenomen. Poeta, gawędziarz, kronikarz. Nader gościnny.

Przeżyliśmy więc wieczór autorski najosobliwszy w świecie. Poeta-samouk zachwycił Profesora. Skąd taka wiedza, taki talent, taki humor? Zeszło na literaturę francuską, na Moliere. *Skapena* znał oczywiście. Ale „Szelmostwa”, nie „Podstępny”. Więc Profesor cytował. I teksty własne.

Jedna jest wiosna w roku
Jedna jest młodość w życiu.

I dalej:

Więc wszystko przejdzie, zginie?
Wszystko z wodą przepłynie?
Wszystko marny czas zmiecie?
Wszystko z wiatrem przeleci?

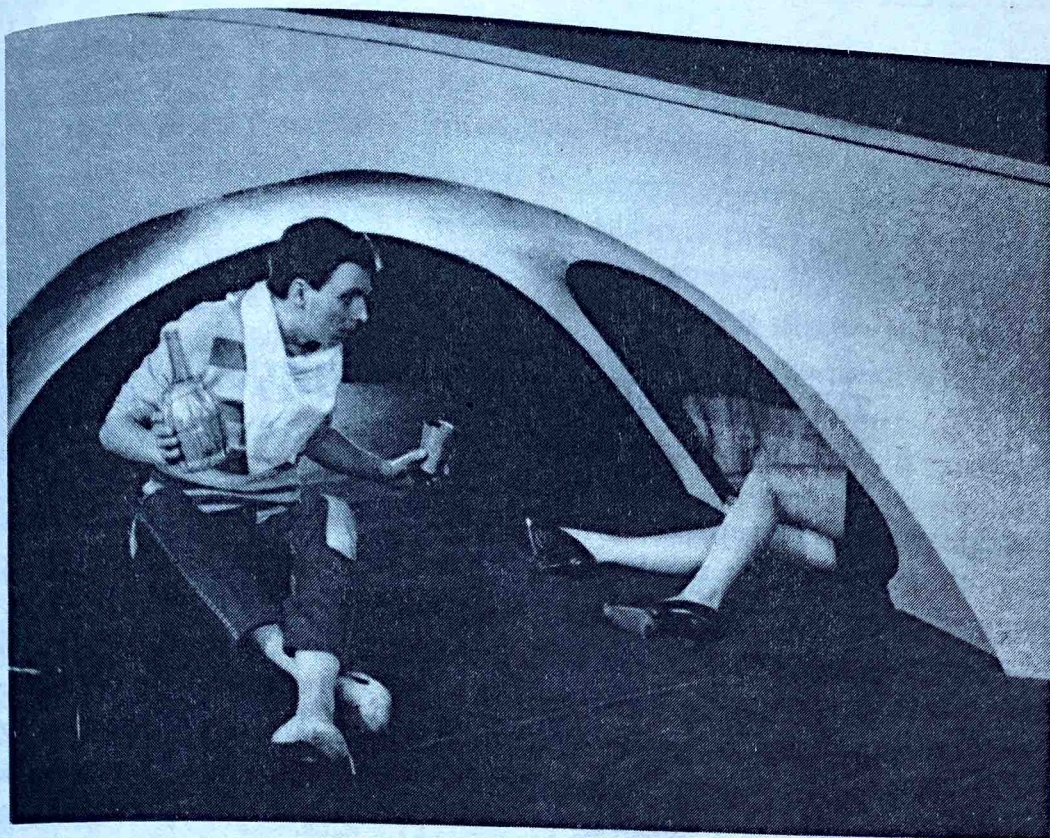
Wtem w mgiełkę nostalgii wtargnęła współczesność. Dwie rozszczebiotane psotnice. Lniane, ciasno związane warkocze, roześmiane, wielkie ślepia. Wnuczki. Zajrzały przez szybki, wpadły do izdebki, przebiegły błyskając długimi, silnymi nogami. Liryczny nastój prysł. Nie, nie prysł lecz odmienił się zgoła. Profesor rozplómił się opowiadając o teatrze, o Moliere, o Francji i o Polsce. Wnuczki, stąpając bosymi krzepkimi nogami, wniosły gliniany dzban kwaśnego mleka i znów ze śmiechem pierzchły.

Gdy wracaliśmy nocą z Pęgowa, żegnani przez starego Jana Klicha słowami Wyspiańskiego: „a chłop, chłopskim rozumem trafi choćby było i daleko...”, strzeliste topole stały po obu stronach drogi jak wielkie, już czarne, ostro zatemperowane ołówki. Profesor zauważył:

— Wyglądają jak cyprysy.

Nazajutrz na próbie ostatecznie rozstrzygnął się „problem nóg”. Lucynka z organizacji widowni (nazywała się Kozianka: jakżeby inaczej, gdy dyrektorem jest Skuszanek?), chętnie przystała na statystowanie i posłużyła nogami w VII scenie.

Krótką rozterka na próbie: nogi nie mogą być gołe (rok 1968!). Reżyser: „absolutnie gołe! Skapen ogląda się na te gołe nogi!” Dyrekcja: „no, może w pończochach i pantoflach”.



Józef Skwark w roli Skapena w *Podstępach Skapena* w Teatrze Polskim we Wrocławiu, 1968

Więc nogi zostały obleczone w cieliste pończochy i czarne pantofle na słupkach. Zaś od góry naciągnięto fragment czarnej spódniczki, aby nie były tak bezkresne.

Na generalną próbę młodzieży nie wpuszczono, za to na premierze nadkomplet kilkunastolatków zgotował Profesorowi owację, skandowane brawa i spontaniczne przypinanie szkolnych tarcz (wtedy jeszcze nosiło się tarcze). Profesor stał na ogromnej scenie wzruszony, otoczony kręgiem młodzieży mówił do niej: „inaczej niż u Wyspiańskiego. Nie sam na tej wielkiej scenie pustej, nie sam!” Zaś młodzież podchwyciła refren intermediiów i śpiewała:

tańczcie w słońcu, które ciało ozłaca,
gdyż wstąpicie kiedyś w smugę cienia,
kto tam wstąpił, już nigdy nie wraca.

Akustyk teatru, Hubert Bregulla, obserwując z kabiny sytuację, włączył taśmę z muzyką Adama Walacińskiego na foyer teatralne i cały gmach rozbrzmiewał śpiewem. Tekstem nie Moliера, lecz tekstem intermediiów Bohdana Korzeniewskiego.

Taki był finał premiery *Podstępów Skapena*.